płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 1—15.X.1989 | 19

Fot. UNICEF

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Juliusz Puchalski

— Oddaj mi parasol, bo zmokniemy obaj!

Jesienny napęd

Najprostszy wynalazek

A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE! ● A TO CIEKAWE!

W CHINACH istnieje zakaz trzymania psów w domach. Zwierzęta te są hodowane dla celów naukowych oraz jako psy wojskowe i policyjne. Dlatego chyba miłośnicy psów otworzyli w ubiegłym roku w prowincji Szan-si specjalny ogród zoologiczny. Można tam oglądać psy aż 24 ras.

●

ŚWIATOWY rekord wysokości wzlotu balonem należy do Anglika Pera Lindstranda. Wzniósł się on na wysokość 18 202 metrów. Lot trwał trzy i pół godziny.

●

PTAKI są największymi tępicielami owadów. Sikorka zjada np. co dzień tyle owadów, ile sama waży. Rocznie tępi około 120 tys. sztuk szkodników, a cała jej rodzina potrafi spożyć 75 kg przeróżnych owadów, ich jajek i larw.

Drozd śpiewak zjada przez rok 1 milion 670, a szpak 299 tys. gąsienic. Gdyby w jednej linii ułożono owady zjedzone w ciągu roku przez jerzyka, to linia ta miałaby długość 1 km.

NAJKRÓTSZY hymn narodowy na świecie ma Kuwejt. Hymn trwa 16 sekund, ma 18 taktów i nie ma słów.

●

SZTOKHOLM — stolica Szwecji, położony jest na 12 wyspach i wiele ulic przebiega tam wzdłuż kanałów. Nic dziwnego, że wiosną i latem motorówek używa się tam tak samo często jak samochodów.

JAZDA do tyłu na rowerze staje się modną „dyscypliną sportową". W Belgradzie (Jugosławia) odbyły się nawet międzynarodowe zawody. Zwyciężył w nich zawodnik z drużyny gospodarzy, przejechał rowerem jadąc do tyłu 113,3 km.

●

ŻÓŁW z tokijskiego zoo odbywa codziennie 200-metrowy spacer wokół swego wybiegu. Jego opiekunowie stwierdzili, że musi on mieć jeszcze więcej ruchu. Żółw chętnie chodzi, a jego spacer trwa pół godziny. Za swoją wytrwałość jest każdorazowo nagradzany — otrzymuje spory kawałek melona.

Nasza okładka:
Całą ziemię ozłocą

NAUCZYCIEL

Niesiesz słowo mozolne,
Słowo codzienne.
Patrzysz, jak rośnie słowo
We mnie
I jak nabiera mocy.
Jak każdym rankiem szkolnym
Wpisuję swoje życie
W otwarte Kraju karty.

Jan Babicz
Rys. Zdzisław Byczek

OPOWIEŚĆ O TEOFILU

Marcinowi Kanonowiczowi

Któregoś dnia coś tam dłubałem tuż obok leśnego domku, gdy aż drgnąłem na niespodziewane miauknięcie. Obejrzałem się. Parę kroków ode mnie siedział kot. I patrzył na mnie, jak to koty chyba tylko potrafią — czujnie, w każdej sekundzie gotowy do skoku w bok, do ucieczki. Uśmiechnąłem się, a kot znowu miauknął głośno, nie ruszając się ani na trochę.

— Popatrz — powiedziałem półgłosem do Uli, która wygrzewała się na leżaku w wiosennym słońcu. — Mamy gościa.

— Kto tam znowu? — spojrzała ku bramie niezadowolona, bo lubiła wylegiwać się na słońcu wcale nie mniej niż kot.

— Kot — odpowiedziałem cicho, aby nie spłoszyć wpatrzonego we mnie szarego, dużego kota.

— Kot? — zdziwiła się. — No, to co?

Bo trzeba powiedzieć, że prawie dzień w dzień widzieliśmy śmigające między drzewami koty. Dzikie koty, które z daleka czmychały na nasz widok. Czasem tylko, wieczorami, podchodziły do domu i ściągały położone na talerzyku okrawki mięsa, by zaraz zniknąć w mroku.

— Siedzi i miauczy — powiedziałem, a kot, jak na zamówienie miauknął głośno, jakby się o coś upominał.

Dziwne, siedział dalej i nie uciekał. Nie podchodził do mnie, ale i nie uciekał. Co parę sekund miauczał przeraźliwie. Może chory? Może coś mu się stało? — zaniepokoiłem się. Postąpiłem krok ku niemu, a on skulił się, sprężył i gdy podszedłem jeszcze o krok bliżej, odskoczył o dwa metry w tył. I znów przycupnął, i znów miauknął przeciągle.

— Ładny — powiedziała Ula, stając obok mnie. — Kici, kici... — schyliła się, wyciągnęła rękę i postąpiła naprzód.

Ale kot nie dał zbliżyć się do siebie. Rzeczywiście był ładny. Szary. Ale nie pręgowany, jak większość kotów — miał szare, jednolite futro. Ciemniejsze obrączki miał dopiero na ogonie. Przednie łapy miał jakby w krótkich, białych skarpetach, tylne zaś jakby w białych podkolanówkach. Pod brodą — białą, szeroką plamę, jakby muszkę... I miauczał głośno, przeciągle, nie ruszając się z miejsca..

Ula rzuciła mu kawałeczek mięsa. Odskoczył w bok, ale wrócił, znalazł kąsek w trawie i pożarł łapczywie. I znów miauknął przeciągle.

Ula przykucnęła w pobliżu i rzuciła kotu drugi kawałek mięsa. Do trzeciego kot postąpił ostrożnie o krok naprzód. Nie odskoczył w bok, gdy rzuciła następny. Przy piątym czy szóstym kąsku był zaledwie o krok od Uli. A przy siódmym czy ósmym już pozwolił się podrapać po uchu.

— Co ty tu masz... — zatroszczyła się Ula, gdy kot pożerał kolejny plasterek kiełbasy. — Biłeś się z kimś pewnie...

Odszedłem dalej od domku i przecinałem pieniek drewna piłą, gdy usłyszałem za sobą głos Uli: — Popatrz...

Trzymała kota na rękach. Uszy sterczały mu czujnie, ale ślepia miał lekko zmrużone. Nie wyrywał się.

— Motor włączył — powiedziała Ula, a minę miała bardzo dumną, że obłaskawiła dzikusa, choć mama z daleka wołała, żeby rzuciła kota, bo może jest wściekły, a na pewno brudny i w ogóle to jakiś włóczykij.

Podszedłem do Uli, wolnym ruchem sięgnąłem do kota, podrapałem go lekko pod brodą. Futro miał gęste, puszyste, miękkie. Z białej skarpetki przedniej łapy sterczały zakrzywione

Rys. Zbigniew Rychlicki

pazury. Raz i drugi spróbował uwolnić się, ale Ula trzymała go mocno. Żal mi go było.

— On się boi. Puść go — powiedziałem i Ula, choć niechętnie, puściła kota na ziemię. Myślałem, że umknie, ale on wolno obszedł nas dookoła, ogon zadarł pionowo, otarł się o nasze nogi i miauknął głośno, zadzierając łeb wysoko, aby na nas spojrzeć. I zaraz potem opuścił łeb ku ziemi i... przewrócił się na grzbiet, zamachał łapami w powietrzu.

— On chce się bawić! — roześmiała się Ula i kucnęła przy kocie, podrapała go w miękki, prawie biały, futrzany brzuch. A on cierpliwie leżał na grzbiecie, wolno poruszył łapami, poddawał się z zadowoleniem drapaniu, ale po chwili nagle spojrzał w bok, zgrabnie obrócił się, stanął na łapy, z godnością odszedł o dwa kroki, przysiadł na mchu i począł myć łapę językiem.

— Wiesz, jak on ma na imię? — spytała Ula.

Wzruszyłem ramionami. Śmieszne... Skąd mam wiedzieć?

— Kot to kot — odpowiedziałem.

— On ma na imię Teofil — powiedziała Ula.

— Też pomysły — obruszyła się mama. — Kot powinien mieć imię kocie, a nie ludzkie.

— Ale on jest Teofil — upierała się Ula.

I tak już zostało. Gdy tylko przyjeżdżaliśmy do naszego lasu, już po chwili obok domku zjawiał się Teofil. A przecież to nie był nasz kot. On był po prostu swój. On nie miał pana. Jego domem był las. Gdy swoim kocim sposobem dowiadywał się, że już przyjechaliśmy, widzieliśmy, jak prześliznguje się przez szparę w płocie i wolno, dostojnie, kroczy ku nam. Już z daleka otwiera pyszczek i miauczy. Potem zjada smaczne kąski, które mu przywozimy. Pozwala się podrapać za uchem, po grzbiecie, raz i drugi przewróci się na grzbiet, mruży ślepia z zadowolenia, gdy drapie się go pod brodą... wskoczy na kolana mamie siedzącej na leżaku, a potem wróci na ziemię i choć Ula znów przyzywa go do jakiegoś kociego specjału, on wolno odchodzi w stronę płotu.

Kot Teofil był włóczykijem. Odwiedzał w lesie ileś tam domków. I pewnie wszędzie dostawał jakieś „małe conieco", jak mówił Krzyś w „Kubusiu Puchatku".

Strugałem kiedyś drążek, słońce przygrzewało, leniwie kołysały się brzozy, poświstywały ptaki. Teofil dostał swoją porcję, ale dotknął jej tylko i zniknął w wysokiej trawie. Widocznie był syty. I nagle usłyszałem wrzask. Dzieci płaczą? — pomyślałem w pierwszej chwili. Skąd?!

Pobiegłem za domek. Teofil i zupełnie obcy, wielki, łaciaty kot stały na tylnych łapach i walczyły ze sobą. I zobaczyłem, że zwykle powolny Teofil ma zupełnie inne, dzikie ślepia i raz po raz pazurami drze po łbie i barkach łaciatego kota, który nie pozostawał mu dłużny, ale nagle uznał widać siłę Teofila, bo czmychnął w stronę płotu. A Teofil skoczył za nim...

— Broni swojego terytorium — roześmiała się Ula, gdy nasz kot zatrzymał się przy płocie, przysiadł, zamiatał ogonem suche liście, a potem wolno już podszedł do talerzyka, jakby chciał sprawdzić, czy jest na nim jego porcja. A gdy Ula wzięła go na ręce, zobaczyliśmy, że ma rozdarte ucho. A przy dokładnych oględzinach znaleźliśmy na drugim uchu stare, zarośnięte już blizny.

— Toś ty zabijaka — powiedziała Ula do Teofila, ciągnąc go lekko za bokobrody, gdzie Teofil miał jakby za dużo pięknej, mięciutkiej, futrzanej skóry.

A po paru dniach zobaczyliśmy, jak Teofil idzie do nas na trzech łapach. Prawą przednią niósł przed sobą ostrożnie i patrzył na nas tak, jakby

prosił o pomoc. Obejrzeliśmy łapę. Nie było na niej rany. Złamał ją? Pewnie tak. Ale czy mógł ją złamać sam? Na pewno nie. Ktoś go zranił. Kto? Nie wiadomo. Ktoś, kto nazywa się człowiekiem. I Teofil zapewne mu zaufał. Teraz skakał na trzech łapach. Gdy Ula wzięła go na kolaną i zaczęła delikatnie obmacywać chorą łapę, wyrywał ją, ale nie uciekał. Garnął się do nas. Choć przecież wyglądaliśmy tak samo jak tamten, który uderzył go kijem, trafił kamieniem czy bardzo mocno kopnął.

— Trzeba mu usztywnić łapę — powiedziała Ula.

— I co dalej? — spytałem. — Myślisz, że będzie chodził z opatrunkiem? Po lesie? Przecież to dziki kot.

— To go zabierzmy.

— Do miasta? Do wieżowca? Myślisz, że będzie mu u nas dobrze?

— Przecież on sobie teraz nie poradzi.

Może i tak — pomyślałem. Bo czy będzie mógł zdobywać pożywienie?

— Nagle Teofil wstał i wolno, z trudem, poskakał w stronę płotu.

— Teofil! — zawołała Ula za nim. — Wróć! Zostań!

Kot przystanął z łapą zawieszoną nad ziemią, obejrzał się na nas, miauknął i wolno poskakał do płotu.

— Zostaw go — powiedziałem, gdy Ula chciała iść za nim. — On poszedł po swojej zwykłej ścieżce.

Wspiął się na siatkę. Chwilę wahał się, jak zeskoczyć i nie urazić łapy. Odbił się trochę niezdarnie i spadł w mech na jedną zdrową nogę. Raz i drugi mignął nam w wysokiej trawie jego szary, długi grzbiet.

Potem dalej jak zwykle, świeciło słońce, szumiały drzewa, poświstywały ptaki. Ale bez Teofila zrobiło się w lesie pusto i szaro.

Bogdan Bartnikowski

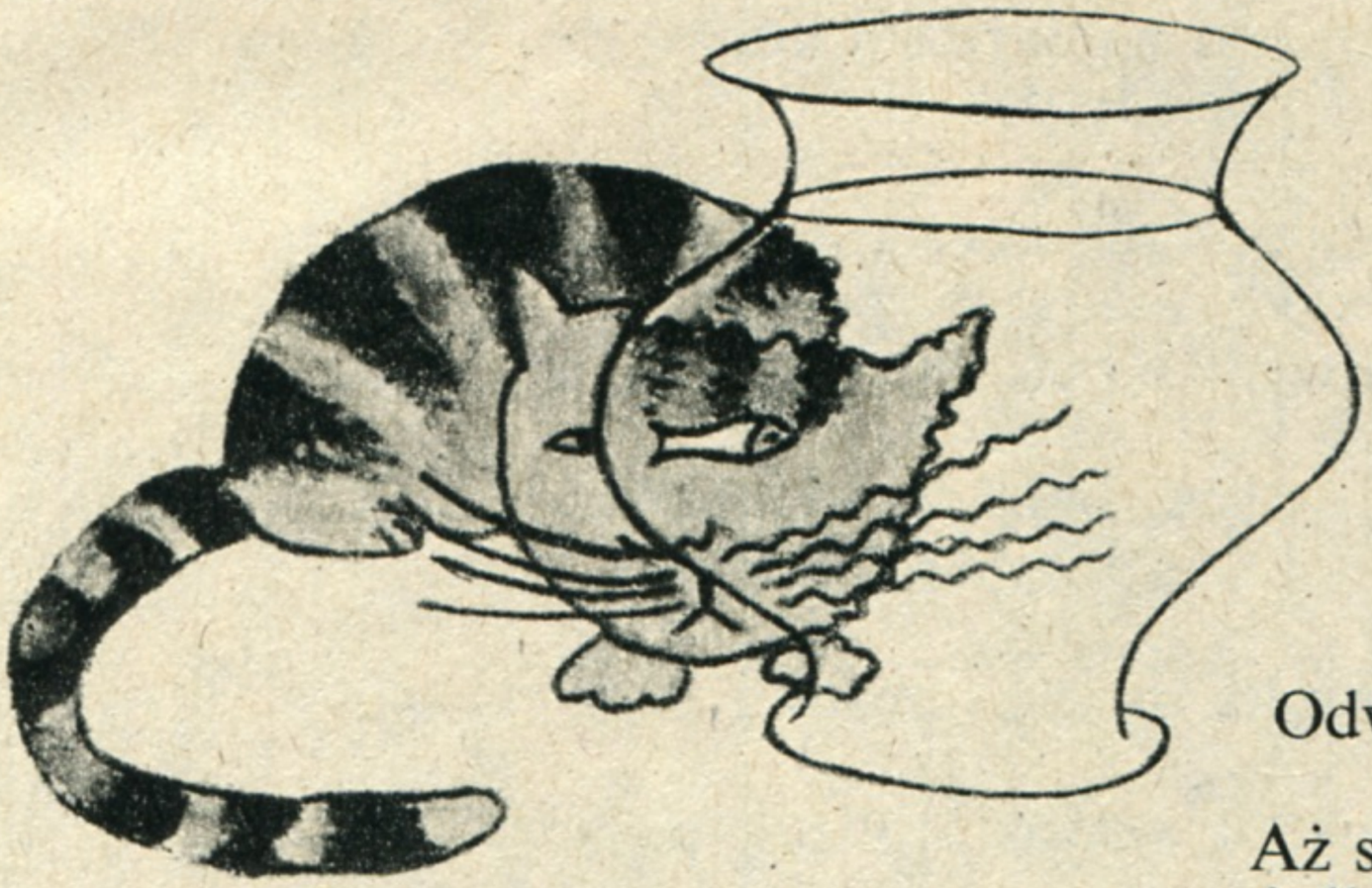

WYWIAD ZE MNĄ

Zajęcie ulubione?

Odwracanie kota ogonem.

Aż się palę do takiej roboty
i dlatego mam cztery koty.

I gdy znudzi mnie wszelka praca
ja te koty odwracam
odwracam
odwracam...

Joanna Kulmowa
Rys. Justyna Bednarska

Kiedy kot jest koci

Kot jest najbardziej koci
kiedy psoci.

I najbardziej koci jest kot
kiedy ma dosyć psot
i na poduszce kłębuszkiem się kładzie.

A może jest koci bardziej i najbardziej
kiedy w łuk się wygina i mruczy.

Kiedy łapką myje pyszczek i uszy.

Kiedy na widok wróbla oblizuje paszczę.

W ogóle najbardziej
bardziej niż najbardziej
kot zupełnie jest koci
zawsze.

Joanna Kulmowa

Rys. Jerzy Flisak

Korona węża

Niedaleko jeziora mieszkała wdowa z dziesięcioletnią córeczką Merulą. Wiodły życie bardzo skromne. Matka od świtu do nocy ciężko pracowała u ludzi bogatych, a Merula pasła gąski. Gąski były zazwyczaj spokojne, tylko czasami uciekały do jeziora. Merula wtedy długo musiała prosić, nawoływać je, żeby wyszły. Śpiewała piękne piosenki ludowe. Gdy śpiewała, nawet gąski okrążały ją zasłuchane. Patrzyły na nią z pochylonymi główkami. Bawiła się jak wszystkie wiejskie dzieci. Pewnego popołudnia, gdy pasła gąski na łące obok jeziora, usłyszała szmer w krzakach. Potem zobaczyła węża z błyszczącą koroną na głowie. Schowała się za drzewem i obserwowała. Wąż zdjął koronę, położył ją na brzegu i wśliznął się do wody. Zobaczyła, jak wąż radośnie się kąpie w jeziorze. Trochę się zdziwiła, ale z zaciekawieniem obserwowała tę wodną zabawę węża. Aż wąż wyszedł z wody, włożył na głowę koronę i zniknął w krzakach.

Gdy wieczorem Merula wróciła do domu, opowiedziała matce to zdarzenie.

— To król wężów! — wykrzyknęła

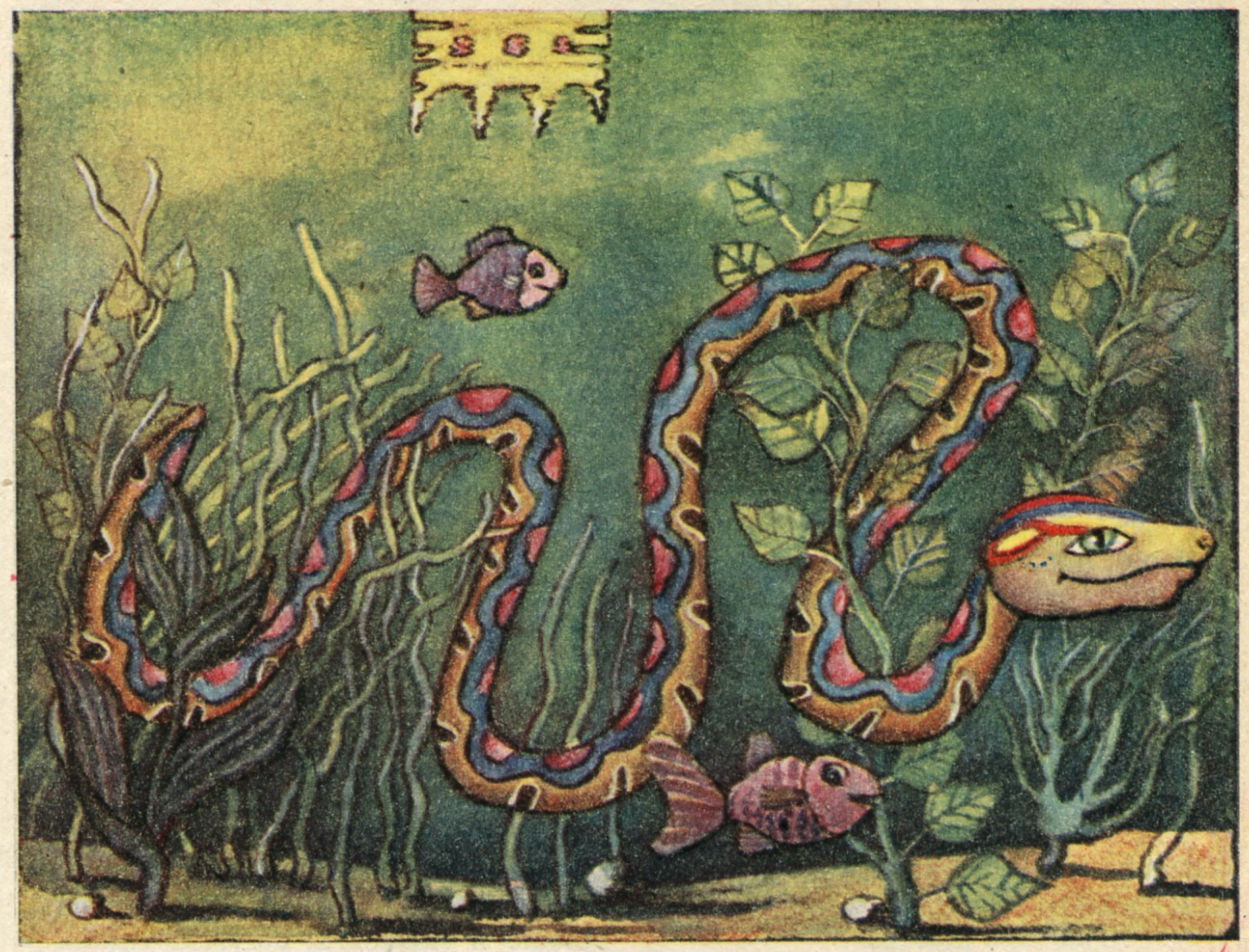

matka. — Byłoby dobrze zabrać tę koronę.

— A dlaczego? — zapytała Merula.

— To może dać nam bogactwo.

— Ale w jaki sposób można wziąć tę koronę? — zapytała znowu Merula.

— Zwyczajnie! — rzekła matka. — Obserwuj węża cierpliwie i gdy wejdzie do wody, porwij koronę i uciekaj szybko.

— A gąski? — zapytała Merula.

— Gąski same przyjdą do domu. Znają drogę.

— A jak mnie wąż dogoni?

— Nie dogoni. Ty jesteś szybsza. A zresztą, jak przekroczysz rwący strumyk, który wpada do jeziora, wąż zawróci.

— Skąd mama wie o tym?

— Tak mówiła twoja babcia. Węże boją się rwących strumyków.

— Spróbuję — powiedziała Merula.

Następnego dnia Merula znowu bawiła się nad brzegiem jeziora. Rozłożyła swój fartuszek. Ale na chwilę musiała iść do gąski, która kulała. Gdy wróciła, oniemiała z wrażenia. Na fartuszku leżała korona, a wąż bawił się w jeziorze. Nie namyślając się długo Merula zawinęła fartuszek z koroną w środku, krzyknęła na gąski i pobiegła w stronę strumyka. Biegła zadyszana. Za nią gąski. W tyle została tylko kulawa gąska, która żałośnie gęgała. Merula chciała zawrócić i wziąć ją na ręce, ale usłyszała syczenie tak ostre, że się przeraziła. Biegła więc dalej, aż przekroczyła rwący strumyk. Tylko kulawa gąska nie zdążyła. Dopadł do niej wąż i zaciągnął w stronę krzaków.

Gdy to Merula zobaczyła, pochyliła się nad pozostałymi gąskami i zapłakała.

Przez całą drogę powrotną do domu szlochała. Matka, ujrzawszy ją, zapytała:

— Dlaczego płaczesz?

— Kulawej gąski nie ma. Wąż wciągnął ją w krzaki i chyba zadusił.

— A co masz w fartuszku?

— Koronę węża.

— Pokaż. O, jaka piękna! Złota z diamentami. No, los się uśmiechnął do nas. Przestaniemy klepać biedę. Jutro pójdę do miasta i sprzedam koronę.

— A ile za nią pieniędzy dostaniemy?

— Bardzo dużo, córeczko, bardzo dużo.

Merula się uspokoiła i po kolacji położyła się spać. Nie mogła jednak zasnąć. Cały czas myślała o wężu i o biednej, kulawej gąsce. Dopiero koło północy zasnęła i wtedy przyśnił jej się wąż bez korony, łzy miał w oczach i błagał Merulę, żeby mu oddała zabraną złotą koronę.

— Bez niej nic nie znaczę, jestem niczym! — zasyczał. — Oddaj mi moją koronę, a nie pożałujesz.

— Mamo! — krzyknęła Merula.

— Co ci jest, córeczko? — zapytała matka jakby przez sen.

— Wąż tu jest.

— Nie ma żadnego węża, śpij...

Merula próbowała zasnąć. Jednak wyśniony sen nie dawał jej spokoju. Znowu wąż błagał:

— Bez korony jestem niczym! — syczał. — Oddaj mi ją, a nie pożałujesz. Zanieś koronę w to samo miejsce, skąd wzięłaś. Tam spotkasz dziwny kwiat, pod nim jest skarb. Ten skarb należy do ciebie.

— Mamo! — znowu krzyknęła Merula. — Ten wąż pokazał mi dziwny kwiat. Muszę mu oddać koronę. Trzeba ją oddać.

— Dobrze, córeczko! Teraz śpij. Jeszcze jest noc.

Merula do samego rana nie zmrużyła oka. Cały czas myślała o wężu i jego koronie. Matka też była niespokojna. Obudziła się bardzo wcześnie.

Merula wstała, ubrała się. Zawinęła koronę w fartuszek, chwyciła matkę

za rękę i szybko wyszły z domu. Szły w stronę jeziora. Zatrzymały się blisko drzewa. Merula rozłożyła fartuszek. Korona błyszczała jak słońce. Oddaliły się. Była cisza, jakby makiem zasiał. Nawet liście nie szeleściły. Jezioro jeszcze spało. Nie było żadnego pluskania. Cofały się powoli. Nagle spostrzegły kulawą gąskę obok dziwnego kwiatu. Pierwszy raz widziały kwiat o tęczowych barwach. W oczach rósł. Pochylał się w ich stronę.

— To ten dziwny kwiat z mojego snu! — krzyknęła Merula.

— Poczekaj, nie zbliżaj się! — powiedziała matka.

— Ten sam kwiat, mamo. Ten sam kwiat, który widziałam we śnie.

W końcu zbliżyły się. Merula dotknęła jego płatków. Poczuła bijące od niego ciepło i ukojenie.

— Spróbujmy go z ziemi wyciągnąć — powiedziała matka.

Zaczęły ciągnąć i dłońmi podważać. Wychodził powoli z korzeniami, a w nich kolorowa szkatułka. Wyjęły szkatułkę, oczyściły z ziemi i otworzyły. Oniemiały z wrażenia. Szkatułka była pełna klejnotów: perły, rubiny, szmaragdy, diamenty.

Bez słowa zabrały szkatułkę i gąskę, szybko powróciły do domu. W domu otworzyły szkatułkę. Oglądały po kolei klejnoty. Bawiły się nimi. Z radości zaczęły tańczyć, śpiewać. Aż w końcu zmęczone, ale radosne, usiadły. Matka objęła córkę i powiedziała:

— Dziękuję ci za te skarby...

Nikos Chadzinikolau
Rys. Bogusław Orliński

LWIA PASZCZA

Martwią mnie różne rzeczy,
a zwłaszcza
bardzo mnie martwi
— lwia paszcza...

No, bo jeżeli — paszcza lwia,
to co się stało z resztą lwa?

KROKUSY

Cóż to za tort śniegowy?
pełen liliowych
świeczek?
To krokusy zakwitły
na urodziny
owieczek.

RÓŻA

— Poszła róża na bal,
miała zielony szal,
kolce schowała pod szalem.

— I co? Co było dalej?
— Księżyc, olśniony jej urodą,
porwał do tańca piękną różę.

— I pewnie zaraz od niej uciekł?
— Uciekł, w podartym garniturze...

MAKI

Pod czerwonymi żaglami
płyną piraci
po morzu.

A może
to są maki,
które zakwitły
w zbożu?

MIECZYKI

Mówiła mi sroka
spod zamkowej wieży,
że mieczyki to są kwiaty
w sam raz dla rycerzy.

A ja zaraz weszłam
na zamkową wieżę
i patrzę dookoła —
gdzie są ci rycerze?

Wiersze Wandy Chotomskiej
Rys. Ewa Salamon

Spytała Poetka

— Dlaczego tak dużo moich wierszy drukujecie? — spytała pani Wanda Chotomska — Czy to jakiś festiwal Chotomskiej w „Płomyczku”?!

— Po prostu — odpowiedziałem — pisze Pani tak znakomite wiersze, że musimy je pokazywać naszym Czytelnikom, i to jak najczęściej.

*

Ta rozmowa toczyła się wiosną, a teraz narodził się jeszcze jeden powód: zbliża się dosyć okrągła rocznica w życiu pani Wandy Chotomskiej. Więc... znów w jednym numerze „Płomyczka” ukaże się sporo Jej utworów.

— Wiersze—portrety kwiatów.

— A także słowo „O poecie i biedronce” i „Autoportret” Poetki, którą kochają nie tylko Płomyczkowe Dzieci.

Tadeusz Chudy

NOWA

Zaraz po przeprowadzce okazało się, że w szkole, która była najbliżej — nie ma już miejsc.

Był to duży kłopot, bo ta inna szkoła, do której można mnie było jeszcze zapisać — znajdowała się daleko, a poza tym nie bardzo się mamie podobała.

Pierwszego dnia do szkoły odprowadziła mnie mama. Dziwna sprawa — ale do warszawskiej szkoły szło się przez bagnistą łąkę. Z tego mama była szczególnie niezadowolona.

— Nigdy nie zbliżaj się do rowu — pouczała. — Tam jest taki spadzisty brzeg. Wpadniesz, nie daj Boże! — patrzyła na mnie przestraszonymi oczami. — Obiecaj, że nawet tam nie podejdziesz.

— Obiecuję.

Jednak to nie rów wydawał mi się największym zagrożeniem. Na tej łące pasły się krowy. A ja, taka duża panna, uczennica trzeciej klasy, okropnie bałam się krów. Pasły się spokojnie, ale kiedy się nadchodziło, podnosiły duże, rogate głowy i patrzyły uważnie wielkimi oczami.

Niemal czułam, że za chwilę podejdą blisko, bardzo blisko... No i te ich rogi!

Na razie szłam z mamą, byłam bezpieczna, ale co będzie później. Jutro, pojutrze...?

— Jutro odprowadzi cię tatuś — mama jakby odgadła moje myśli. — A potem na pewno zaprzyjaźnisz się z jakąś koleżanką i będziecie chodzić razem.

Szkoła mieściła się w brzydkim, starym, parterowym budynku. Akurat trafiłyśmy na przerwę. Przed szkołą na wielkim placu biegały dzieci. Było dużo chłopców, którzy mi się bardzo nie podobali. Jeden z nich podbiegł do nas i zawołał:

— Pierwszaki nie mają lekcji przez cały tydzień. Ich wychowawca zachorował!

— Ta mała może iść do domu — dodał drugi, który był potargany i miał brudne ręce.

Wziął mnie za pierwszaka! Mnie — trzecioklasistkę!

Aż zaniemówiłam z obrazy. Ale tylko na chwilę.

— To może ty jesteś pierwszakiem! — zawołałam. — Ja chodzę do trzeciej klasy.

Patrzyli na mnie, jak mi się wydawało, ze zdziwieniem, ale już nic nie mówili.

Mama roześmiała się.

— Musisz szybciej rosnąć, córeczko!

I pocałowała mnie na pożegnanie.

W mojej klasie było brzydko, tak jak zresztą w całej tej szkole. Nie było tu szatni — palta i czapki wieszało się na hakach wbitych w ścianę. Nie nosiło się żadnych kapci, podłoga była brudna i każdy siedział w butach, przeważnie zabłoconych, bo droga do szkoły była błotnista.

Rozległ się dzwonek. Weszła uśmiechnięta, młoda pani. To była nasza wychowawczyni.

Stałam trochę niepewnie przy tablicy, a klasa na przywitanie nauczycielki wrzeszczała:

— Proszę pani, przyszła nowa!

Pani uśmiechnęła się do mnie i wskazała mi miejsce. Usiadłam obok rudej, piegowatej dziewczynki. Nie wiedziałam jeszcze wtedy, że to ona właśnie będzie tą koleżanką, o której wspominała moja mama. Tą, z którą będę chodziła codziennie do szkoły.

— Mam na imię Paulina, głupie imię, co? — powiedziała.

— Wcale niegłupie. Rzadko spotykane.

— A ty?

— Wanda.

— Och, zawsze marzyłam, żeby mieć na imię Wanda.

— Jest wiele ładniejszych imion —

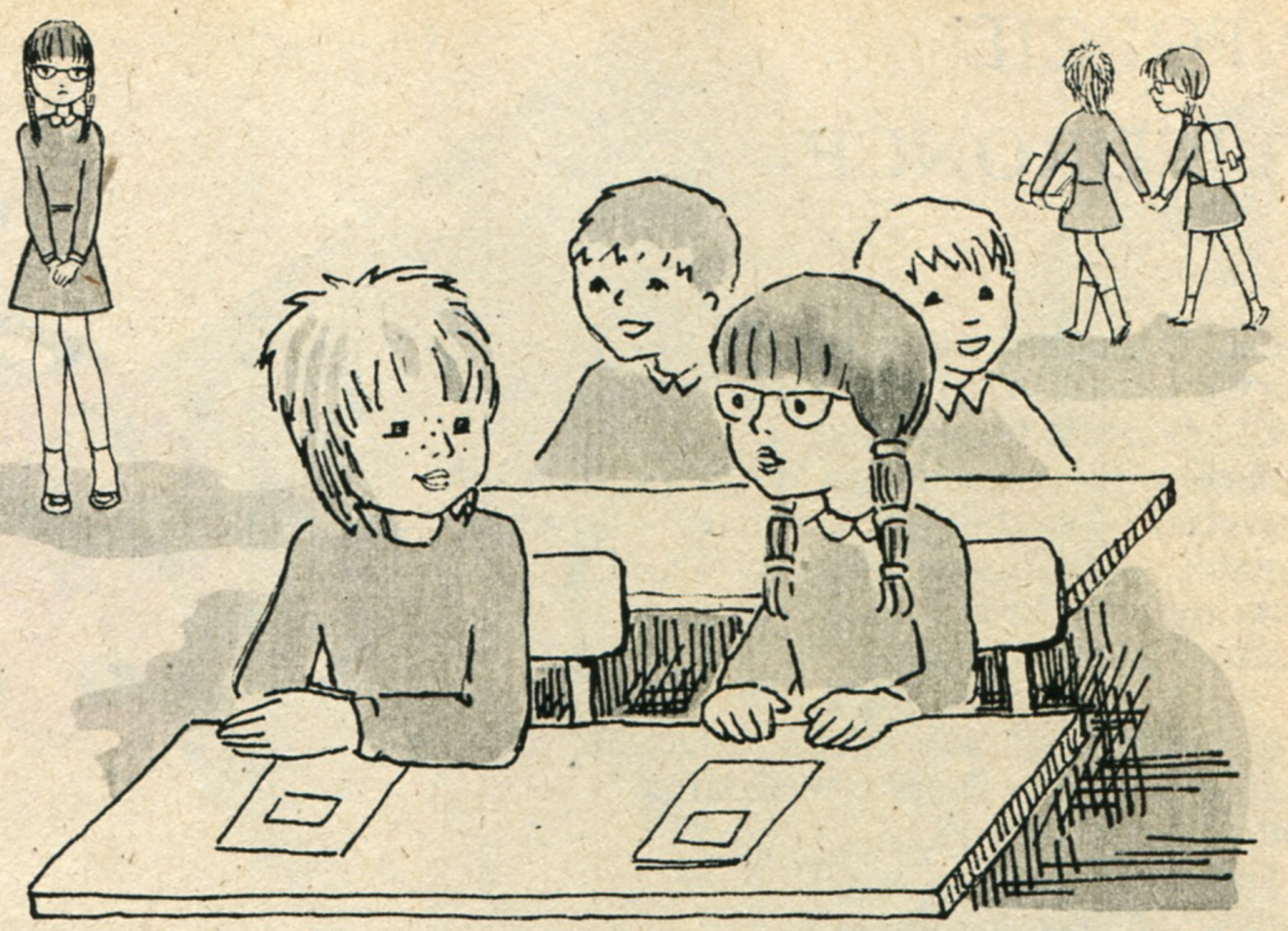

powiedziałam zupełnie szczerze, bo nie przepadałam za swoim imieniem. — A w ogóle — dodałam — jestem mała. Wzięli mnie za pierwszaka.

— Nie przejmuj się — powiedziała Paulina. — Ja jestem ruda i mam piegi i się nie martwię.

— Dziewczynki, nie rozmawiajcie — powiedziała pani. — Na przerwie sobie pogadacie.

Więc tylko już zupełnym szeptem zapytałam:

— Czy ty się boisz krów?

Spojrzała zdziwiona i powiedziała:

— Nie. Nie boję się.

Ach, jak polubiłam Paulinkę!

Pani powiedziała:

— Mam bardzo ważną sprawę, muszę wyjść na jakąś godzinę.

W klasie znów zaszumiało. Zapanowało radosne ożywienie.

— Zostawię wam ciekawą książkę. Kto chciałby czytać głośno?

Zapanowała cisza. Nikt się nie zgłaszał.

— No, czekam? Może ty, Marysiu?

Marysia wstała z miejsca i pokręciła odmownie głową.

— Mam chrypę.

I wtedy ja, nawet nie wiem, skąd wzięłam tyle odwagi, podniosłam dwa palce do góry.

— Ty? — Nauczycielka przyglądała mi się przez dłuższą chwilę. — Na pewno umiesz dobrze czytać?

Skinęłam głową.

— Zaraz się przekonamy — powiedziała. — Otwórz książkę.

Była to moja ukochana „Ania z Zielonego Wzgórza". Zaczęłam czytać. I od razu zapomniałam o wszystkim. O tym, że szkoła jest brzydka, że jestem tu obca, że się ze mnie śmiali, że jestem mała, że noszę okulary...

Umiałam czytać biegle, a poza tym miałam dobrą dykcję. Tak mnie oceniono w poprzedniej szkole.

W klasie panowała zupełna cisza.

— Pięknie czytasz! — powiedziała pani. — Proszę, siadaj tutaj, na moim miejscu. — I zwróciła się do klasy: — Tak właśnie powinno się czytać w trzeciej klasie.

Patrzyli na mnie z podziwem. A ja czułam, że rosnę.

Wanda Osuchowska-Orłowska
Rys. Małgorzata Sawicka

O POECIE I BIEDRONCE

Był sobie jeden poeta blady,
który miał w biurku różne szuflady,
a w tych szufladach chował zapasy:
w pierwszej — przecinki, w drugiej — nawiasy,
w trzeciej — średniki, w czwartej — myślniki,
w piątej — dwukropki i wykrzykniki,
znaki pytania, kropek pół kilo
i cudzysłowów niemałą ilość.

A że porządek miał w tych szufladach,
bardzo porządne wiersze układał.
Tutaj ! dał dla okrasy,
tam jakieś słowo ujął w ( )
nagłym , przecinał zdania
lub stawiał po nich ?

Ponieważ myślał, pisząc wierszyki,
często do wierszy wstawiał — —,
czasem „”, czasem :
i nie żałował na końcu . . .

W sto dni napisał sto pięknych wierszy.
Chciał właśnie zacząć pisać sto pierwszy,
lecz mu w szufladach zbrakło zapasów —
nie miał przecinków, nie miał nawiasów,
nie miał średników, nie miał myślników,
nie miał dwukropków i wykrzykników.

Z pustej szuflady pustką powiało —
tylko w niej siedem kropek zostało.
Poeta wiersza napisać nie mógł,
chciał złamać pióro, ale się przemógł,
więc prędko pióro włożył w kieszonkę,
a z siedmiu kropek zrobił ..... BIEDRONKĘ.

Wanda Chotomska
Rys. Jerzy Flisak

AUTOPORTRET

Matejką to ja nie jestem —
malować nie potrafię
i bardzo kiepsko, niestety,
wychodzą mi fotografie.
Choć pstrykam z wielkim zapałem,
zawsze pękają klisze,
więc może lepiej będzie,
jak ja się nie namaluję
i nie sfotografuję,
tylko po prostu opiszę.

Szatynka. Oczy piwne. Siedem piegów na nosie.
Metr sześćdziesiąt dwa wzrostu. Waga — 58.
Znaki szczególne?... W zimie nie mam szczególnych znamion,
a gdy nadchodzi wiosna — skrzydła mi rosną u ramion.
Chociaż jestem dorosła, muszę wyznać ze wstydem,
że dorośli nie mają zrozumienia dla skrzydeł.
Głupia sprawa, naprawdę — człowiek jedzie tramwajem,
człowiekowi spod palta skrzydło trochę wystaje
i już komuś zawadza, i już komuś przeszkadza,
już mandatem mi grożą, już wołają: — Gdzie władza?
Niech nam pani przed nosem tak nie macha skrzydłami,
bo te skrzydła nikomu niepotrzebne są na nic! —
Więc uciekam do dzieci, tak jak do was na przykład.
Jak się macie, kochani? Przyleciałam na skrzydłach!

Wanda Chotomska

PODSTAWOWE ZABIEGI W HODOWLI PSÓW

Aby pies wyglądał elegancko i przyzwoicie, należy go codziennie czesać lub szczotkować, szczególnie gdy jest długowłosy. Porządkowania futra najlepiej dokonywać na zewnątrz domu, ustawiając psa na jakimś podwyższeniu.

Nie wolno wyrywać zdrowych włosów. Należy używać odpowiednich szczotek i grzebieni nie raniących skóry. Pamiętajmy zawsze, że każde zadrapanie naskórka u psa daje dostęp różnym grzybicom i bakteriom, a schorzenia przez nie wywołane są niekiedy trudne do wyleczenia.

Uszy

Codziennie należy zaglądać psom do uszu, szczególnie psom tych ras, u których są one długie, zwisające. Drażniące, ostre włosy w uchu mogą psa doprowadzić do szału. Włosy wciąż odrastają i wciąż je należy usuwać. Długie uszy, np. u spanieli, są stale brudne, dotykają bowiem brudnej ziemi, a podczas jedzenia z miski nurzają się w zupie. Uszy takie trzeba stale myć, uważając, by woda nie dostała się do kanału słuchowego. Karmiąc psy z miski można nakładać im na głowę zużytą skarpetę z dziurą w miejscu pyska. Czasem z uszu psa wypływa cuchnąca wydzielina, świadczy to o jakimś procesie zapalnym. Pies przekręca w bok głowę, stara się dosięgnąć łapą chorego ucha. Nie wolno tych objawów lekceważyć, gdyż bez pomocy lekarza weterynarii może dojść do komplikacji dolegliwości i głuchoty.

Oczy

Ważnym zabiegiem w hodowli jest higiena oczu psa. Codziennie oglądamy spojówki, badamy, czy nie są zaczerwienione, czy ich nie drażni jakiś źle ukierunkowany włos, szczególnie u ras ostrowłosych. Obserwujemy bacznie powieki, zwracając uwagę, przede wszystkim u bassetów, czy nie są one wwinięte lub za bardzo wywinięte. Oglądamy przyśrodkowy kąt oka, w którym może gromadzić się ropna wydzielina zasychająca na ostry strzępek. Należy ją usuwać wacikiem zwilżonym 4-procentowym kwasem bornym, ale nigdy herbatą, jak to zalecają niefachowe osoby. Herbata zawiera środki drażniące oraz zapach, którego psy nie znoszą.

Zęby

Oglądamy pyszczki dorastających szczeniąt, czy przypadkiem mleczne kły nie za długo tkwią w zębodołach. Może wypadnie pójść do lekarza w celu ich usunięcia, by nie hamowały wzrostu kłów stałych. Inne zęby mleczne — siekacze — możemy sami usunąć przez masowanie dziąsła. U starych psów należy zdejmować z zębów kamień, który jest źródłem nieprzyjemnego odoru. Można go zeskrobać z powierzchni zęba kawałkiem twardego drewienka. Przy tym zabiegu następuje zwykle podrażnienie dziąseł i mały krwotok. Nie należy się tym przejmować, ale dziąsła trzeba potem przemyć słabym roztworem octu lub kwasku cytrynowego.

Pazury

U psów, które rzadko biegają po twardym podłożu, za długie stają się pazury i w każdej

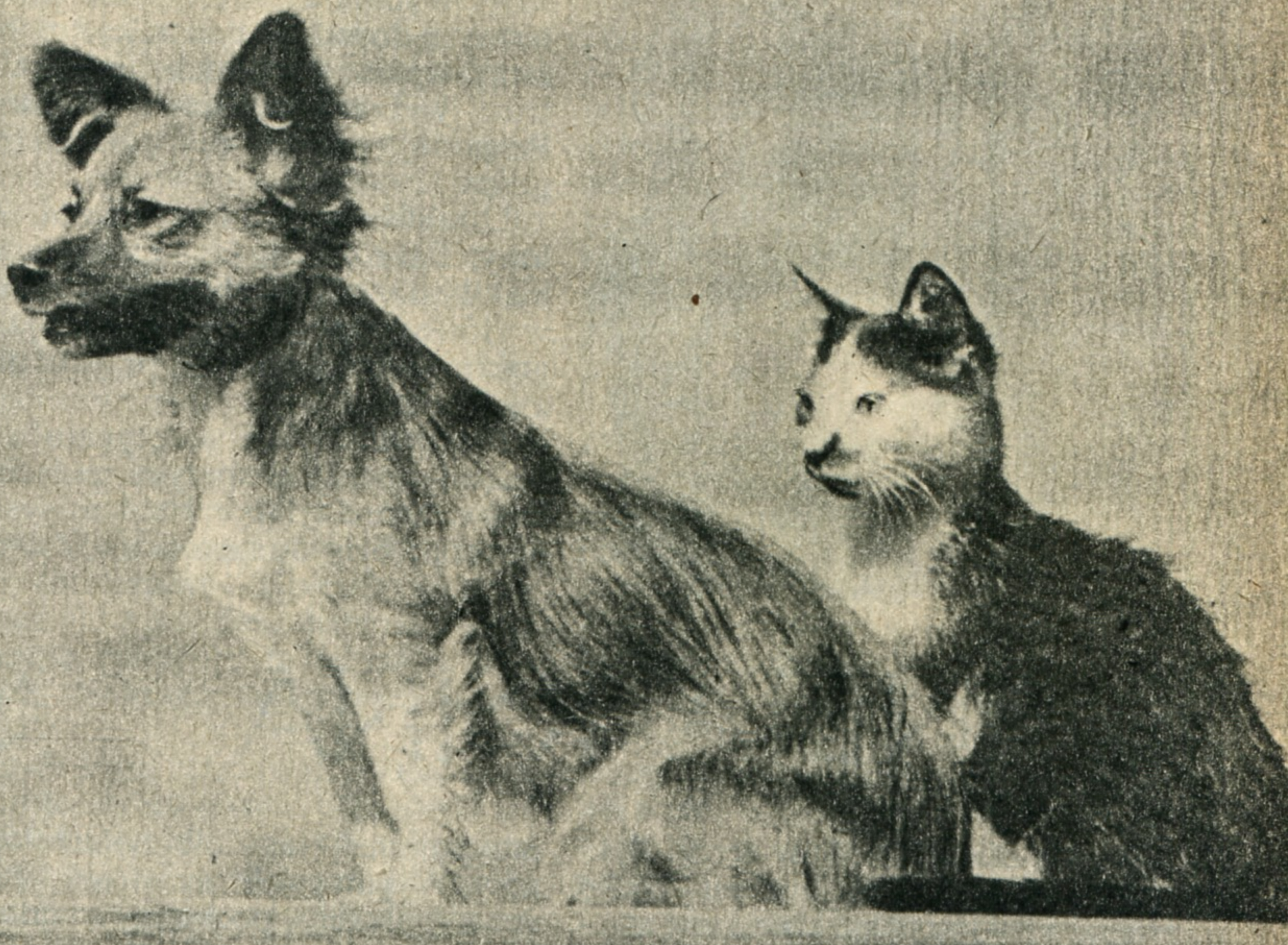

chwili mogą się złamać lub pęknąć wzdłuż, co przysparza zwierzęciu bólu. Należy pazury obcinać specjalnymi kleszczykami, ale umiejętnie, by nie zranić miazgi twórczej pazura. Z kolei psy biegające w mieście po chodnikach i płytach betonowych mogą za bardzo ścierać swe pazury, aż do krwi. Trzeba im zmienić miejsce spacerów.

Kąpiel

Jak często należy kąpać psy, zależy od rasy. Psy kąpie się, gdy ukończą 6 miesięcy. Większość psów nie znosi tego zabiegu, jeśli nie przeprowadza się go od młodości i systematycznie. Dla psa jego własny pot i wydzielina innych gruczołów skórnych jest źródłem zapachów, które w sumie są jego „garniturem zapachowym", jego dowodem tożsamości. Wszystkie te „wonności" służą psom do porozumiewania się między sobą, gdyż węch jest ich najważniejszym zmysłem. Dlatego też każdy pies niechętnie pozbywa się swojego „garnituru zapachów" podczas kąpieli. Psa należy stopniowo przyzwyczajać do kąpieli, do kontaktu z wodą. Trzeba unikać sytuacji, które go rozdrażniają tak, że trzeba mocować się z nim.

Nie wolno używać do psiej kąpieli proszków do prania; a jedynie przeznaczonych do tego łagodnych szamponów. Trzeba psu pomóc przy wyjściu z wanny, a następnie usunąć za pomocą ręcznika wodę z jego sierści.

Nie wolno psa trzeć ręcznikiem, gdyż podrażnimy mu skórę.

Wiele psów boi się panicznie warkotu suszarki elektrycznej. Zostawmy takiego psa, niech sam wyschnie! Pamiętajmy, że podczas kąpieli zatyka się wacikami uszy psom.

Myjąc psa szamponem zawierającym substancje przeciw pasożytom skórnym, należy strzec, by nie dostały się one z wodą do oczu, uszu, nosa i pyska psa.

Niektóre rasy psów wymagają strzyżenia, bo tak nakazują rygory wzorca. Rzadko kto strzyże psa u siebie w domu. Korzysta z usług ludzi wykonujących to cierpliwie i artystycznie. Gdyby jednak przyszło robić to samemu, trzeba pamiętać, że nie wolno psa skaleczyć. Psa należy strzyc poza domem, a potem dobrze wyszczotkować mu sierść, bo drobne resztki pociętych włosów nie drażniły skóry.

Franciszek Kobryńczuk

— Wydaje mi się, że nie powinniśmy lądować w tym miejscu. Możemy wpaść w zasadzkę, jeżeli Centrum wykryło już nasze kłamstwo. Proponuję polecieć po prowiant „cygarem".

Ustaliliśmy, że poleci Baśka, Zielony, Tisza oraz ja i nasz złoty robot. Sziko i pozostałe roboty będą czuwać w głównym pojeździe i w razie jakiegoś niebezpieczeństwa przyjdą nam z pomocą.

Przesiedliśmy się do „cygara". Lecieliśmy nad ogromnymi połaciami lasów, które tylko z bardzo wysoka podobne były do ziemskich. Z bliska

PLANETA KSINA

Aż coś zakłuło mnie w sercu. Była zupełnie jak Ziemia. Już mi trochę przejadły się wszystkie kosmiczne atrakcje. Chętnie wróciłbym, choćby zaraz, na naszą zieloną, gościnną planetę, na której czasem bywało źle, ale za to całkiem swojsko.

W okolicy równika wznosiły się góry, a w ich centralnej części zalegał rozległy płaskowyż, na którym rysowały się geometryczne znaki.

— Wygląda na to, że ktoś przygotował nam lądowisko — zażartowałem.

— Bo to jest lądowisko. Nasze statki zawsze tutaj lądują. Mieszkańcy Ksiny przyzwyczajeni są do tego i nawet sprzedają nam żywność. — Sziko obniżył lot, okrążając płaskowyż.

— Traktują was jak bogów?

— Staramy się do minimum ograniczać kontakty z obcymi cywilizacjami. Każda ma swoją własną drogę rozwoju. Z tych spotkań pozostaje im trochę legend, które z czasem uczeni potraktują jak wytwór zbiorowej fantazji.

przypominały łany olbrzymich łopianów. Wypatrywaliśmy wiosek. Po tej stronie planety, po której znajdowaliśmy się, zapadał już zmierzch.

Nagle na horyzoncie zobaczyliśmy ogromną łunę. Polecieliśmy w jej kierunku. Naszym oczom ukazała się monumentalna budowla w kształcie wysokiej, czworokątnej, zwężającej się schodkowo wieży. Na jej szczycie bielał wymyślny budynek.

— Wypisz, wymaluj, mezopotamski zikkurat — zawołała Baśka. — Nawet na szczycie ma coś, co przypomina świątynię albo siedzibę bóstwa.

Przed „świątynią" palił się ogromny znicz, zaś u stóp budowli płonęła niezliczona liczba ognisk. Zielony zatrzymał „cygaro" i powiększył obraz na monitorze. Tysiące tubylców klęczało kiwając się monotonnie i jękliwie wznosiło modły.

— To na pewno jakiś obrządek religijny. Popatrzmy, może będą składać ofiary, to uda nam się coś kupić. Przecież dla nich przylatujemy z nieba.

— Wojtek, ty już chyba odkryłeś w sobie boskie zalety. Jestem przekonana, że najbardziej odpowiadałby ci przydomek Gromowładny.

Puściłem mimo uszu tę złośliwą uwagę i kontynuowałem swoją myśl:

— Jeżeli to jest religijny obrzęd, to muszą też być kapłani. Z nimi na pewno dogadamy się, tylko jak długo to potrwa?

Czekając na rozwój wypadków przyglądaliśmy się tubylcom. Nie byli zbyt urodziwi, mieli różową skórę, jakby opuchnięte oczy, haczykowate nosy, usta wygięte w podkówkę oraz nad podziw bujne czupryny. Wyglądali dość chuderlawo. Ubierali się, jak na ziemski gust, dość dziwnie. Nosili obszerne peleryny, takie jakby kloszowe spódnice, narzucone na ramiona.

Nagle tłum zafalował. Tysiące rąk wzniosło się do góry. Spotęgował się jęk i szloch. Na szczycie zikkuratu pojawił się niewielki orszak osób. Wszyscy w tej grupie byli łysi i odziani w zielone, wąskie stroje, które pozwalały im poruszać się niewielkimi kroczkami na znak dostojeństwa. Szli dwoma rzędami niosąc między sobą coś w rodzaju lektyki tak zbudowanej, że kiedy schodzili po schodach, jej pudło pozostawało zawsze w tej samej pionowej pozycji. Kto siedział w tej lektyce? Bóstwo? Najwyższy kapłan? Monarcha? Na boki spływały błękitne szaty przetykane złotem i jakimiś błyskotkami. Im niżej schodziła procesja, w tym większą ekstazę wpadał tłum. Zgromadzeni tarzali się w piachu, szarpali za włosy i rękami drapali sobie twarze.

Orszak tymczasem zszedł do podnóża budowli i skierował się w lewo, aby obejść ją dokoła.

— Zielony, zrób coś, abyśmy mogli zobaczyć, kto tam siedzi? Kto to jest? — niecierpliwiliśmy się.

— Musiałbym zejść bardzo nisko, bo daszek lektyki wszystko zasłania.

— To zejdź! I tak nikt na nas nie zwróci uwagi.

Zielony pomanipulował przy pulpicie sterowniczym. „Cygaro" obniżyło się znacznie i... oniemieliśmy ze zdziwienia. Na ekranach naszych monitorów zobaczyliśmy twarz małej, zapłakanej dziewczynki. Pomimo klejnotów, którymi była obwieszona, wyglądała żałośnie. Mogła mieć najwyżej pięć lat.

— Skąd tu wzięło się to dziecko? — zawołał Zielony.

— Mała, zielona bogini, którą wierni mogą zobaczyć, przynieść jej ofiarę i błagać o pomyślność — powiedziała w zamyśleniu Baśka.

— Co zrobimy? — ocknąłem się. — Musimy tę sprawę jakoś wyjaśnić.

— Nie wierzę, aby działo się to bez zgody Centrum — wtrącił się do rozmowy Tisza. — Przecież kontrolują ten teren. Nie mamy co wyjaśniać, bo możemy się tam komu w Centrum narazić.

— Co ty tak ciągle trzęsiesz się o tę swoją i nie swoją skórę? Głosisz wspaniałe teorie, a masz większego stracha niż zając w kapuście — zdenerwowałem się.

Moje ziemskie powiedzonko nie było całkiem jasne dla Wiridian, ale zrozumieli, o co chodzi.

— Wyobrażam sobie, jak wygląda wasza cywilizacja, w której każdy może decydować o wszystkim — próbował się odciąć.

— My mamy demokrację — odpowiedziałem bez namysłu.

— Przestańcie się kłócić! Zastanówmy się lepiej, co zrobić — przerwała Baśka.

— Może to podstęp? — zastanawiał się Zielony.

— A jeżeli nie podstęp? Może w jakiś sposób zdobyli to dziecko... — Baśka na moment zawiesiła głos. — Musimy tę sprawę wyjaśnić.

— Co zrobimy? — Tisza był wyraźnie przestraszony.

— Postąpimy tak, jakby to był podstęp. Zachowamy wszelkie środki ostrożności i porwiemy dziewczynkę.

— Może lepiej to zgłosić w bazie. Oni lepiej całą rzecz załatwią. — Tisza za wszelką cenę starał się uniknąć ryzyka.

— Niektóre religie wymagają ofiar rytualnych, na ofiarę zabija się ludzi. Bywają niektóre obrzędy tak straszne, że aż ze zgrozy jeżą się włosy na głowie. Popatrzcie, co wyprawiają wszyscy zgromadzeni na tej uroczystości. W takiej atmosferze wszystko jest możliwe. Dlatego będzie bezpieczniej, jeżeli małą po prostu zabierzemy, a Centrum niech załatwia to, co do niego należy — przekonywałem. — Kto wie, może ten wymyślny znicz na górze to stos ofiarny?

Ostatnie moje słowa zrobiły największe wrażenie. Wszyscy przyznali, że trzeba bezwzględnie ratować dziecko.

— Poczekajmy, aż wejdą na szczyt zikkuratu, wtedy pójdzie po nią robot. Dysponuje największą siłą i możliwościami. W razie nieprzewidzianego oporu uśpi wszystkich — zadysponował Zielony i wydał złotemu robotowi odpowiednie polecenie.

Poinformowaliśmy Szika o tym, co zauważyliśmy i co postanowiliśmy uczynić. Przyleciał natychmiast i ustawił się nad nami.

Procesja, obszedłszy budowlę, wchodziła z powrotem na jej szczyt. Teraz wszystko odbyło się błyskawicznie. Robot wylądował obok drepczącego drobnymi kroczkami orszaku, rozgarnął rękami łysych, przerażonych kapłanów, których przewyższał o głowę i próbował zabrać dziewczynkę. Zawahał się przez moment i... złapał całą lektykę. Zanim ktokolwiek zdołał ochłonąć, uniósł się w górę. Tubylcy przypadli twarzami do ziemi, zasłaniając rękami głowy, jakby za chwilę miał posypać się na nich grad kamieni.

Ledwo robot znalazł się w naszym „cygarze", dołączyliśmy do latającego talerza. Okazało się, że robot zdecydował się wziąć dziewczynkę wraz z lektyką, ponieważ była do niej przywiązana.

Dziewczynka nazywała się Szini. Płakała i powtarzała w kółko: „Dla wiernego ludu Szini ma wiele łaski..." Doszliśmy do wniosku, że dostała szoku i ułożyliśmy ją spać. Jeden ze srebrnych robotów został wyznaczony na niańkę. Nie mogliśmy się na razie dowiedzieć, czy Szini jest jedynym bóstem u kapłanów. Nie było czasu wdawać się w jakąkolwiek awanturę. Musieliśmy zdobyć żywność i uciekać dalej. W bazie spenetrują mózg Szini i wszystko będzie jasne.

Ruszyliśmy na poszukiwanie jakiegoś osiedla, w którym moglibyśmy cokolwiek kupić. Ale nic z tego nie wyszło. Gdzie tylko obniżaliśmy lot lub lądowaliśmy, tubylcy uciekali w wielkim popłochu. Sziko i Tisza dziwili się takiemu zachowaniu, ponieważ wiedzieli, że zawsze handlowano z Ksińczykami.

— Musiało wydarzyć się coś wyjątkowego, tylko ciekawe co? — zastanawiał się głośno Zielony.

— Może to ma jakiś związek z Szini? — Tisza konsekwentnie dopatrywał się nieszczęścia w naszym nieodpowiedzialnym zachowaniu.

— Teraz i tak niczego się nie dowiemy — zauważyła Baśka. — Szukajmy jakiegoś prowiantu i znikajmy, bo zanim skończymy te rozważania, zwali nam się na głowę cała pogoń wysłana przez BP-JEDEN.

Miała rację. Czas szybko uciekał, działając na naszą niekorzyść. Należało się spieszyć.

Zielonemu udało się znaleźć spore skupisko roślin, które rodziły jadalne owoce podobne do orzechów kokosowych. Miały one jednak smak pieprzu, co dla nas było nie do przyjęcia. Wiridianie zebrali spory ich zapas,

a widząc nasze skwaśniałe miny, znaleźli jeszcze kilka roślin. Złoty robot wykonał na poczekaniu pełną analizę

neutronograficzną. Nie znaną nam żywność wybrał z takim znawstwem, że od tej pory Baśka nazywała go Naszym Złociutkim.

Złoty robot, przeznaczony nam na opiekuna przez profesora Puta, z całą pewnością miał zaprogramowane ziemskie gusty kulinarne. Niemniej byliśmy mu bardzo wdzięczni, a ja byłem dumny, że uratowałem go w czasie walki z szynszekami.

— Widzisz, jak mi się odwzajemnił? — przygadywałem Tiszy. — Gdybym wtedy nie zaryzykował, to wasze jedzenie tak wykręciłoby mi gębę, że rodzona matka by mnie nie poznała.

Przez dwadzieścia dwie godziny lot trwał bez zakłóceń. Szini chodziła po statku, a za nią krok w krok dreptał robot-niańka. Karmił ją, nosił, układał do snu, a przede wszystkim odpowiadał na nie kończącą się liczbę pytań. Zaśmiewaliśmy się z nich do łez. Na przykład Szini wskazywała na przezroczystą rurę pełną spiralnie poskręcanych przewodów i pytała:

— Co to jest?

Robot odpowiadał poważnie, jakby określał pozycję obiektu wobec lądowiska:

— Jest to element NYX-120 wytwornicy grawitacji wewnętrznej.

— A po co to jest?

— To jest do utrzymania stałej grawitacji, zbliżonej do grawitacji na Wiridii, wynoszącej $6{,}65 \times 10^{-8}$ cm³/g·sek².

— Za dobrą odpowiedź Szini zapewni ci obfite łaski. A to co to jest?

Biedny robot. Nie potrafił uświadomić sobie, że może lekceważyć niedorzeczne pytania dziewczynki. Skończyło się to dla niego tragicznie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Ewa Barańska i Wiesław Kot
Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

„NOCNA ZMIANA”

Zauważyliście zapewne, jak wcześnie teraz zapada noc? Już o czwartej po południu jest zupełnie ciemno. Spieszymy więc do domu i tam spędzamy długie wieczory i noce w naszych dobrze oświetlonych, bezpiecznych mieszkaniach.

Zwierzęta tak jak i my lękają się ciemności. O zmroku wciskają się do swoich kryjówek — dziupli, norek, rozpadlin czy grot, skąd wychodzą dopiero o świcie.

Ale nie wszystkie obawiają się nocy, są takie, które teraz dopiero wychodzą na żer: kuny, łasice, gronostaje, tchórze, wydry czy sowy. To drapieżniki, noc jest ich żywiołem. Gdy jedne zwierzęta idą spać, zastępują je inne, które teraz właśnie rozpoczynają swój dyżur w przyrodzie. Ta nocna zmiana jest nam zupełnie nie znana; często nie podejrzewamy nawet, że te nocne Marki są tak blisko nas.

Na przykład sowy... Czy wiecie, że gnieżdżą się one nie tylko w lasach i na kościelnych dzwonnicach, ale także w miastach — w parkach, na cmentarzach, w zadrzewionych alejach, na poddaszach, w ruinach itd. Czasem, gdy siedzę przy pracy długo w nocy, słyszę chichoty sów, które dochodzą do mnie z Parku Paderewskiego po drugiej stronie ulicy, przy której mieszkam. Te nocne ptaki nie obawiają się wcale ruchu ulicznego ani świateł. Latają cicho jak duchy. Światła nie odstraszają ich, ale przeciwnie, ułatwiają polowanie, gdyż przekonanie, że sowy widzą w całkowitej ciemności, jest oczywiście przesądem. Potrzebują choćby odrobinę światła, choć głównie kierują się słuchem. Można powiedzieć, że sowy „widzą” słuchem, który bezbłędnie naprowadza je na zdobycz — myszy, szczury, krety, norniki i inne stworzenia, które miały pecha zdradzić się najlżejszym choćby szelestem. W miastach sowy wyłapują głównie wróble z ich noclegowisk na drzewach lub spośród zarośli dzikiego wina. Na pewno nieraz widzieliście w mieście wróble nocujące gromadami pośrodku oświetlonych placów (tak jest np. w Warszawie przy Pl. Konstytucji). Zbierają się w takich miejscach dla bezpieczeństwa, ale i tu zdarza się, że są łatwą zdobyczą dla sowy.

Najczęściej osiedlają się w miastach puszczyk i pójdźka. Pójdźka jest szarobrązowym ptakiem wielkości gołębia. Puszczyk jest co najmniej dwukrotnie większy, o brunatnym lub rudawym upierzeniu. Ptak ten nie lęka się ludzi. Nocą wyprawia się na tereny zabudowane, siada na szczycie dachu, na kominie, na antenie telewizyjnej, na słupie, gzymsie czy innej czatowni i stąd osłuchuje swój rewir.

W lecie najchętniej przesiaduje dniem na drzewie, przywarty do pnia, zimą dzień spędza w dziupli starego drzewa.

Ptaki dzienne nienawidzą sów. Z chwilą, gdy je spostrzegą, podnoszą wrzaskliwy alarm.

Dzieci z trzeciej klasy szkoły podstawowej opowiadały mi, że miały szczęście zobaczyć w parku puszczyka przytulonego do pnia. Wprost nie mogły uwierzyć, że w pobliskim, i to tak uczęszczanym parku może żyć ten dziki ptak. Po paru dniach dziewczynki poszły jeszcze raz pod „sowie drzewo”. Ptaka tym razem nie spotkały, ale pod drzewem znalazły sowie wypluwki. Wypluwki — to takie drobne wałeczki, zostawiane przez drapieżne ptaki, wypluwki zawierają niestrawione części pokarmu. Dziewczynki zabrały je i spreparowały — to znaczy: wrzuciły do naczynia z gorącą wodą, co spowodowało rozdzielenie się zawartości wypluwek. Potem cząstki oczyściły i wysuszyły na bibule. W ten sposób miały przegląd sowiego pożywienia. W tej kolekcji były kosteczki i czaszki mysie, sporo owadzich pancerzyków (rzecz zdarzyła się w lecie), ale najwięcej — piórek i kości wróbli, 70% zawartości. Stąd wyciągnęły wniosek, że głównym składnikiem sowiego pożywienia są wróble i myszy.

Oczywiście, wiecie zapewne, że sowy, te piękne i pożyteczne ptaki drapieżne, są pod ochroną.

Elżbieta Kozłowska

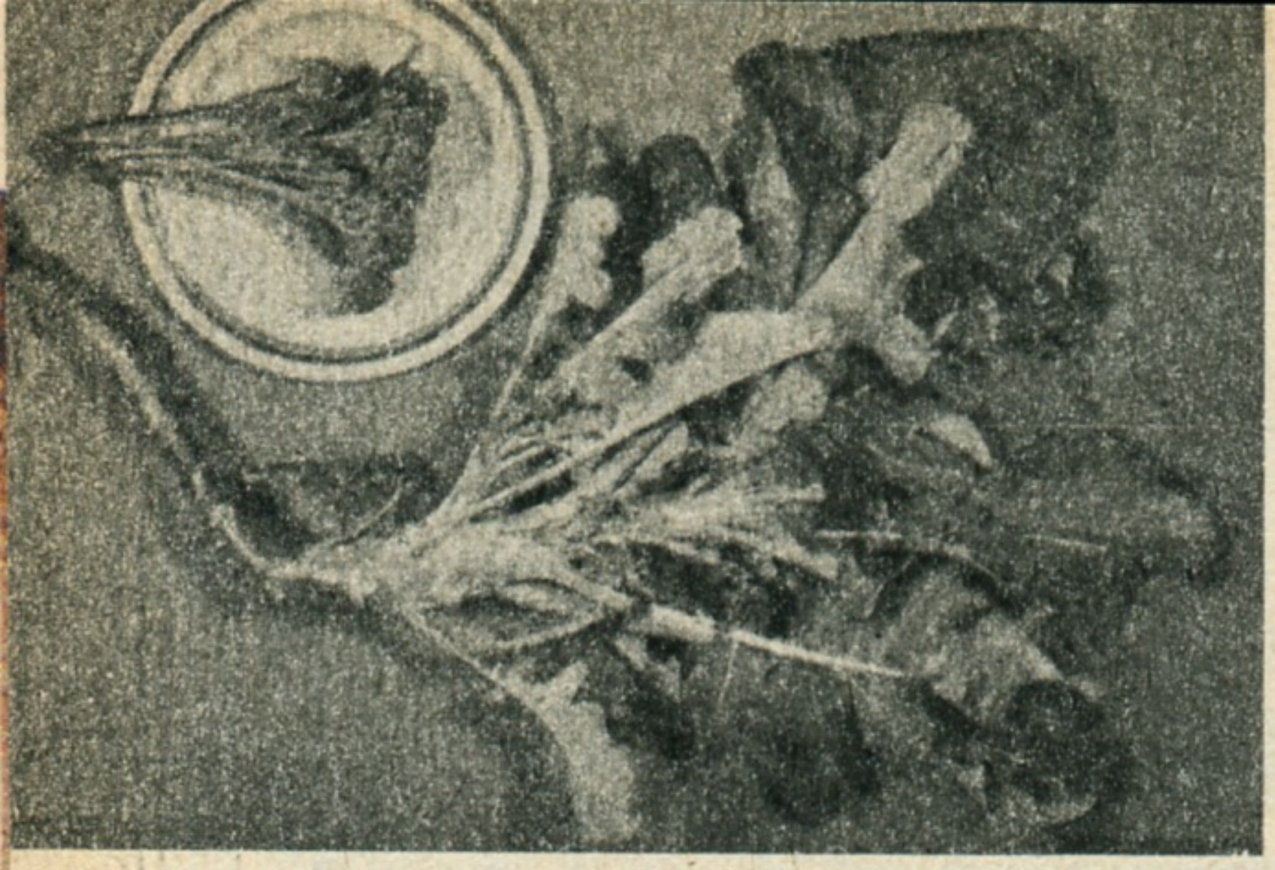

CZY ZNACIE BROKUŁY?

W Polsce brokuły pojawiły się w uprawie w XVII wieku, ale nie rozpowszechniły się tak, jak później kalafiory.

Zielony, fioletowy, biały, czasem różowy brokuł pochodzi od dzikiej kapusty liściowej. Na wierzchu rośliny tworzy się największa róża (kwiatostan), a z bocznych pędów wyrastają mniejsze. Róże brokułów odcina się przed otwarciem pączków kwiatowych. Otwieranie się pączków kwiatowych poznaje się po tym, że na powierzchni róży pokazują się malutkie żółte pączki. Róże ścina się wraz z mięsistymi pędami długości ok. 25 cm i z liśćmi.

Brokuły przyrządza się w taki sam sposób jak kalafiory. Są one nawet smaczniejsze, delikatniejsze niż kalafior. Zawierają też więcej niektórych składników odżywczych. W porównaniu z kalafiorem w brokułach występuje czterokrotnie więcej protaminy A, dwukrotnie więcej witaminy C. Przewyższają one także kalafiory zawartością witamin z grupy B oraz sodu, potasu, żelaza, fosforu i innych składników mineralnych.

Brokuły są łatwe w uprawie, czego nie można powiedzieć o kalafiorach. Nie wymagają żyznych gleb, dlatego nadają się do upraw działkowych. Może wam się uda posadzić je wiosną na własnej działce? W naszym kraju brokuły są raczej mało znane, choć należą do grupy dawno uprawianych roślin warzywnych. W starożytnym Rzymie pojawiały się na stołach bogatych patrycjuszów jako wyszukane danie. Uprawiając brokuły na działce możecie przyczynić się do ich rozpowszechnienia, na co w pełni zasługują.

Krystyna Tarnowska

DBAMY O ZDROWIE

O włosach i łojotoku

Każdy chciałby mieć piękne włosy! Bo czyste i dobrze utrzymane — są naszą ozdobą. Oglądając lub badając włosy można wnioskować o zdrowiu czy chorobie ich właściciela. Włos wyrasta z mieszka włosowego, do którego mają ujście także gruczoły łojowe. Wydzielina tych gruczołów natłuszcza włosy, chroni je przed nadmiernie szybkim zniszczeniem. Takie zabiegi, jak czesanie, szczotkowanie włosów umożliwiają równomierne rozprowadzenie tłuszczu wzdłuż włosa. Są ludzie, u których gruczoły łojowe wytwarzają nadmierne ilości tłuszczu. Wtedy włosy bardzo szybko się przetłuszczają. Jest to łojotok. Ludzie cierpiący na dolegliwość łojotoku myją włosy kilka razy w ciągu tygodnia, ale wcale to nie pomaga. Wbrew pozorom, osoby takie nie powinny często myć włosów ani używać zbyt dużych ilości szamponu, bo nasila to jeszcze bardziej łojotok. Włosy takie należy myć co 7—10 dni, ale jednocześnie trzeba pamiętać o codziennym ich czesaniu i szczotkowaniu. Przy niektórych pracach włosy brudzą się szybciej i wtedy, oczywiście, trzeba je wymyć. Po każdym myciu należy długo płukać włosy, aby usunąć z nich resztki szamponu. A na koniec warto spłukać je wodą z dodatkiem octu (1 łyżeczka octu na miednicę wody).

Bardzo ważną rzeczą jest codzienna pielęgnacja włosów: kilkakrotne ich czesanie i szczotkowanie zawsze w kierunku od skóry głowy do końca włosa. Jednak zbyt mocne i gwałtowne szczotkowanie może być szkodliwe dla włosów. Nie należy też używać grzebieni o zbyt ostrych zębach, bo powoduje to drobne skaleczenia skóry i wtórne zakażenia.

Warto wiedzieć, że do zmniejszenia łojotoku pomocne bywają wyciągi z roślin. Są to: kozłek lekarski, łopian większy, podbiał, pokrzywa, rumianek rzymski i tatarak. Można np. po umyciu włosów wodą z mydłem czy szamponem — płukać je w naparach z pokrzywy. Ludzie cierpiący na łojotok i nadmierne pocenie się powinni też pić napar z pokrzywy.

dr Leszek Marek Krześniak

Dziś o swoim najciekawszym przeżyciu na wakacjach opowiedzą Wam Magdalena, Basia i Dominika.

„Moje najciekawsze przeżycie — napisała **Basia Łysek z Międzyrzecza** — spotkało mnie na kolonii w Ścinawie Małej. Razem z grupą poszłam do lasu, by bawić się w podchody. Zaszliśmy tak daleko, że grupa, która nas szukała, nie mogła nas znaleźć. Zgubiliśmy się w lesie! Było tam tyle rozgałęziających się dróg, że nie wiedzieliśmy, którą wybrać. Siedzieliśmy w lesie całe popołudnie i wieczór. Było naprawdę pięknie. Las szczególnie wieczorem i w nocy jest taki tajemniczy i taki jakiś groźny. Baliśmy się bardzo. Znaleziono nas dopiero około godziny 23.30. Jeszcze nigdy z taką radością nie wracałam z żadnej wycieczki".

Dla **Dominiki Forbotko z Międzyrzecza** najciekawsze było spotkanie z „duchami". „Przygoda rozpoczęła się wtedy — pisze Dominika — kiedy pani na kolonii powiedziała, że na wieży ukazał się duch. Od druha drużynowego dowiedzieliśmy się, że ten duch zadusił już trzy osoby. Bardzo się wystraszyliśmy. Na drugi dzień odkryliśmy ślady ducha w naszym budynku. Uszkodzona szafka, trudne do odczytania napisy na szybie, ślad wielkiego buta na prześcieradle. Nikt nie miał wątpliwości, że to sprawa siły nieczystej. Tego wieczora długo rozbrzmiewały rozmowy w pokojach. Wreszcie kolonia poszła spać. O północy usłyszeliśmy tajemnicze dzwonki i brzęk łańcucha. Wszyscy wyskoczyli z łóżek i przylepili się do okna. Przed budynkiem tańczyły dwa „duchy". Najpierw koleżanki zaczęły piszczeć ze strachu, ale kiedy „duchy" zaśpiewały naszą ulubioną piosenkę, wszystkich ogarnął śmiech. Poznaliśmy po głosach, że to nie żadne duchy, tylko nasz druh z druhną. Ale im się udało nas nabrać".

„Najciekawszym wydarzeniem z moich zeszłorocznych wakacji — napisała **Magdalena Woszczyk z Międzyrzecza** — był ten dzień, kiedy przyjechała do mnie kuzynka. Razem wybrałyśmy się do lasu i nagle zza drzew wyskoczyło jakieś dziwne zwierzę. Bardzo się przestraszyłyśmy i zaczęłyśmy czym prędzej uciekać. Okazało się, że to był dzik, którego spłoszyły nasze wrzaski. Kiedy wróciłyśmy do domu, wszystko opowiedziałyśmy mamie, ale mama nam nie uwierzyła. My jednak wiedziałyśmy, że to prawda. Tę wakacyjną przygodę pamiętam do dziś".

Opracowała E. W.

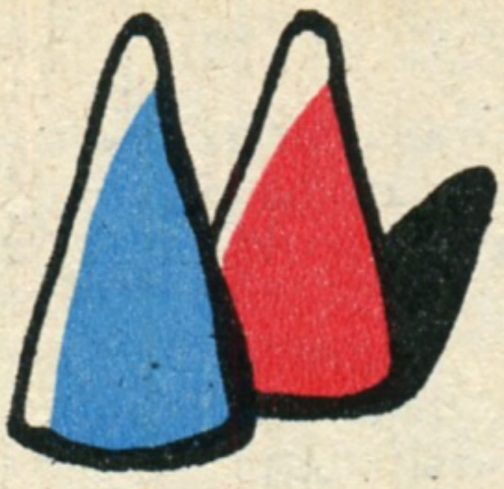

BÓJ CENTURII

Dziesiętnik jednego z legionów rzymskich Juliusza Cezara wdrapał się na szczyt wieży, w biegu zapinając pas z mieczem. Zasapany wrzasnął w stronę dwóch legionistów pochylonych nad kamienną planszą:

— Marku, Kwintusie, nie słyszeliście rozkazu centuriona? Odłóżcie tę grę na spokojniejszą chwilę i czym prędzej chwytajcie za oręż. W bój wyruszamy. Spróbujemy podejść cichaczem pod obozowisko Brytów, by spaść na nich niczym puchacz na drzemiącą synogarlicę. Po zwycięstwie, po powrocie zabawę tę dokończycie. Teraz nie pora na rozrywki, na grę o kilka miedziaków. Najprawdziwsza gra o życie nas czeka!

Mimo zapewnień dziesiętnika do twierdzy Rzymianie owej nocy już nie wrócili. Może zginęli z rąk wojowniczych Brytów, a może po krwawej potyczce wycofali się w kierunku wybrzeża, by opuścić niegościnną wyspę na zawsze?

Czy rzeczywiście tak było? Odpowiedzieć trudno. Jedno jest wszakże pewne. Z upływem lat — ba, wieków całych — opuszczona rzymska warownia obróciła się w ruinę, zamieszkaną jeno przez jaszczurki, ropuchy i hałaśliwe angielskie gawrony.

Dopiero po dziewiętnastu stuleciach resztkami kamiennej twierdzy zainteresowała się ekipa archeologów, pragnących poznać życie legionów rzymskich Cezara podczas podboju Wysp Brytyjskich. Ku zdumieniu uczonych na dnie zrujnowanej wieży, spod ziemi i rumowisk wygrzebano, obok popękanych dzbanów i glinianych mis, także i kamienną planszę oraz komplet pionków do jakiejś nieznanej gry. Właśnie do tej, którą wam dzisiaj polecam.

Bój centurii (oryginalna nazwa: ludus latrunculorum — zabawy żołnierskie) jest, a właściwie była, starożytną grą dwuosobową cieszącą się szczególnym zainteresowaniem żołnierzy z legionów rzymskich. Świadczą o tym — znalezione podczas poszukiwań archeologicznych kamienne tablice i figurki do tej gry, a również, co prawda nieliczne, przekazy piśmienne. Prawidła gry odtworzone zostały na podstawie analizy znalezisk.

Do gry potrzebne są dwa komplety pionków-żołnierzy, po szesnaście sztuk każdy. Celem, do jakiego dążą gracze, jest zbicie wszystkich pionków przeciwnika (lub zablokowanie własnymi pionkami żołnierzy przeciwnika, aby ci nie mogli wykonać żadnego ruchu).

- Każdy gracz ustawia żołnierzy w dwóch rzędach, zajmując nimi pola położone przy przeciwnych krawędziach planszy.
- Żołnierzy można przesuwać tylko o jedno pole do przodu lub w bok, w prawo albo w lewo (nigdy na ukos).
- Zamknięcie żołnierza nieprzyjacielskiego między dwoma własnymi pionkami jest równoznaczne z jego zbiciem, a zatem żołnierza tego należy usunąć z planszy. W sprzyjających okolicznościach można jednocześnie unieszkodliwić nawet dwóch żołnierzy, o ile naturalnie znajdą się oni między trzema pionkami z centurii przeciwnej (swój — wróg — swój — wróg — swój). Za udany atak, zakończony wzięciem do niewoli żołnierza nieprzyjacielskiego (lub dwóch), przysługuje specjalna premia w postaci dodatkowego ruchu. Stąd przestroga przed nieopatrznym pozostawieniem samotnie stojących żołnierzy, bowiem łatwo mogą być oni schwytani. Na domiar złego może to narazić kilku dalszych żołnierzy na niewolę — w wyniku dodatkowych ruchów i dodatkowych bić.
- Żołnierz z własnej inicjatywy może bezpiecznie wejść i przesunąć się między dwoma żołnierzami przeciwnika bez narażenia się na zbicie — przeciwnik nie ma prawa usunąć go z planszy.
- Partia kończy się przegraną tego z zawodników, który straci wszystkich żołnierzy lub zostanie zablokowany tak, że nie może na planszy wykonać żadnego posunięcia.

Jeżeli obaj gracze nie mogą wykonać żadnego ruchu (tzw. obustronna blokada) partia kończy się nie remisem, lecz wygraną tego z partnerów, który stracił w boju mniej żołnierzy (remis będzie dopiero wówczas, gdy obydwaj zanotują identyczne straty).

Zmagania na planszy można przerwać również w momencie, gdy jedna ze stron osiągnęła znaczną przewagę i nic już nie może odebrać jej zwycięstwa.

O nieco innej — bardziej od dzisiejszej skomplikowanej — odmianie boju centurii opowiem wam w następnym odcinku. Do zobaczenia zatem za miesiąc.

Zdzisław Nowak

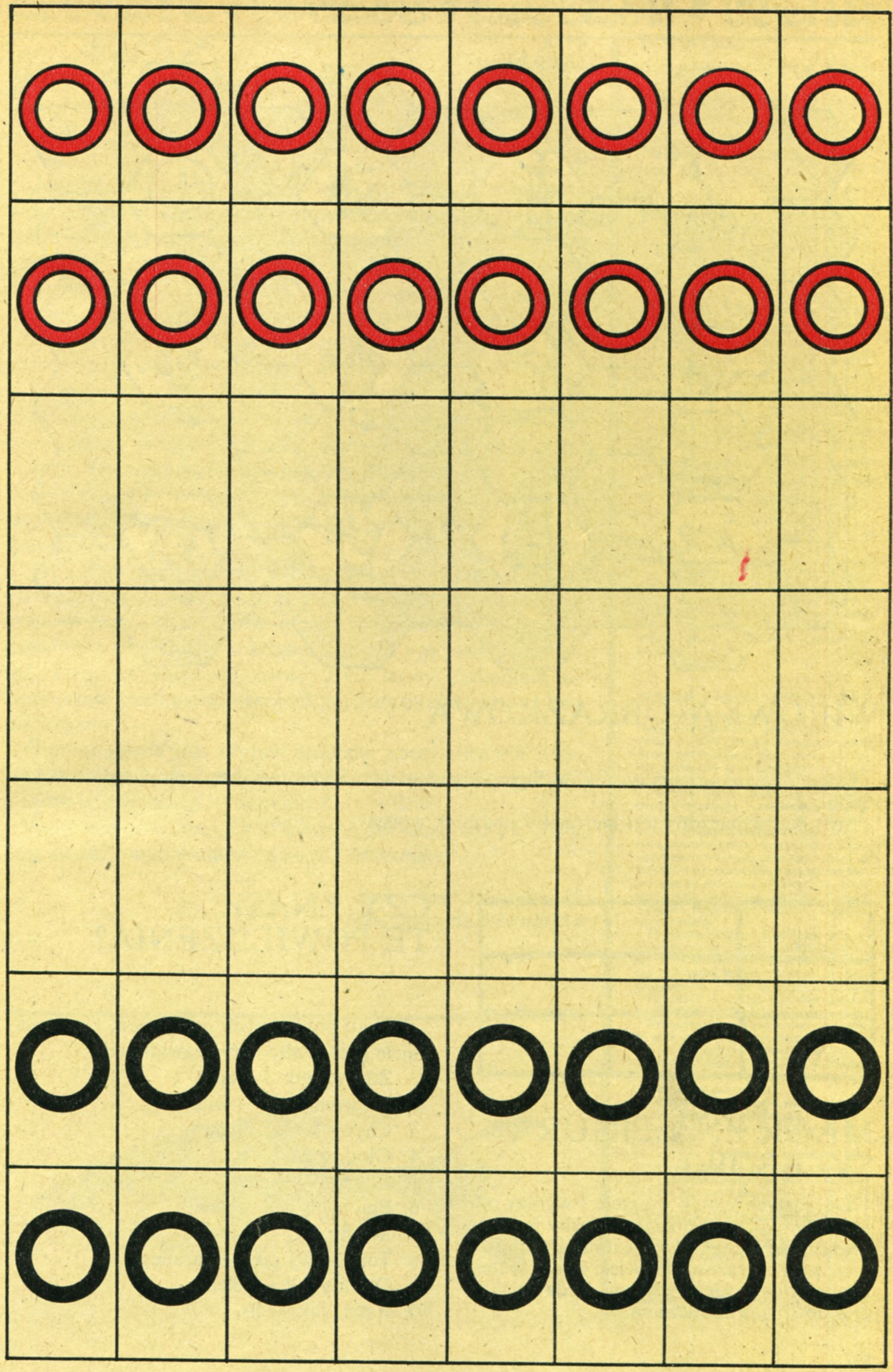

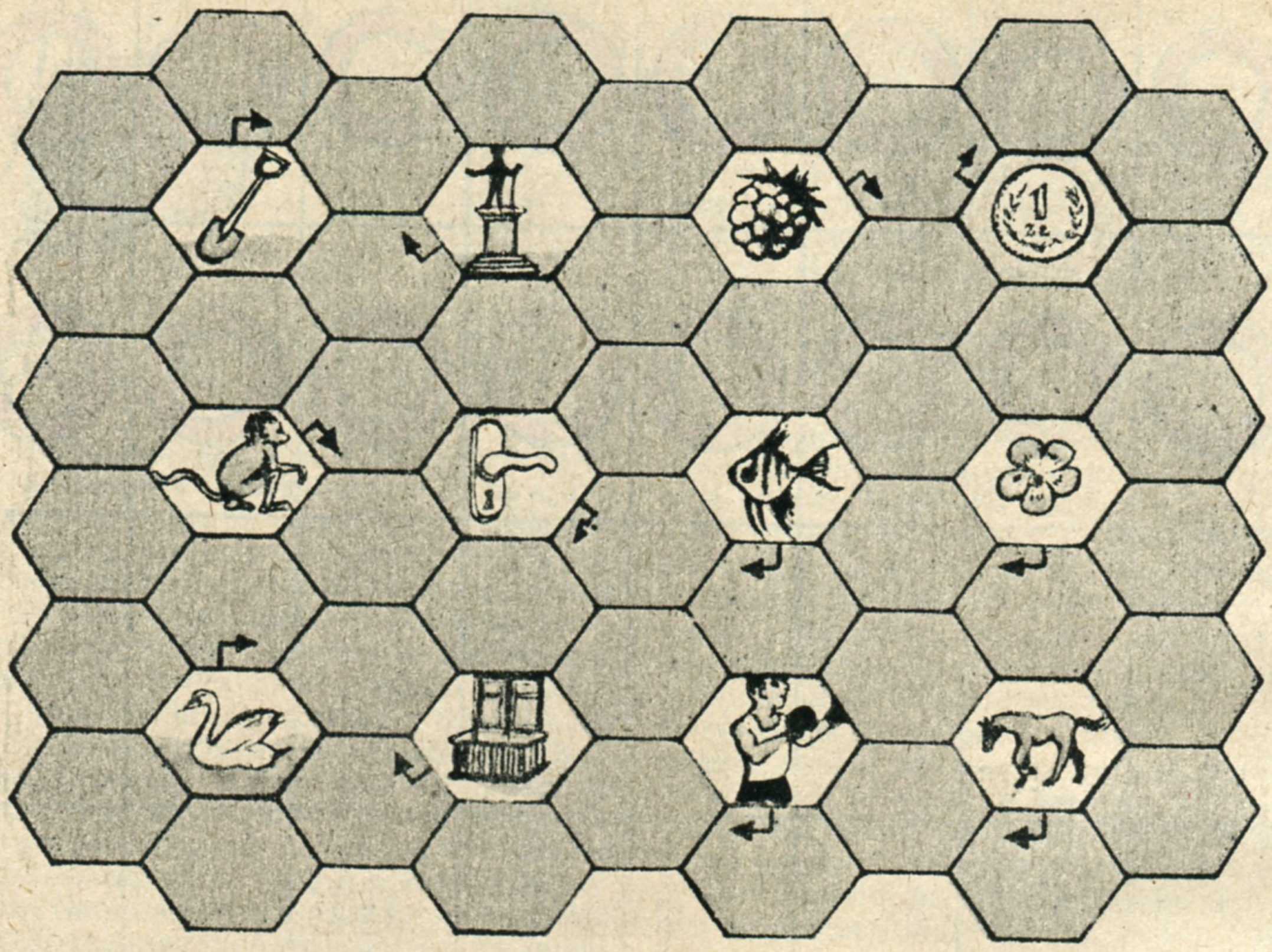

WIRÓWKA OBRAZKOWA

Odgadnijcie znaczenia rysunków. Są to 6-literowe wyrazy, które należy wpisać w pola wokół rysunku.

Strzałką zaznaczony jest kierunek i początek wpisywania wyrazów.

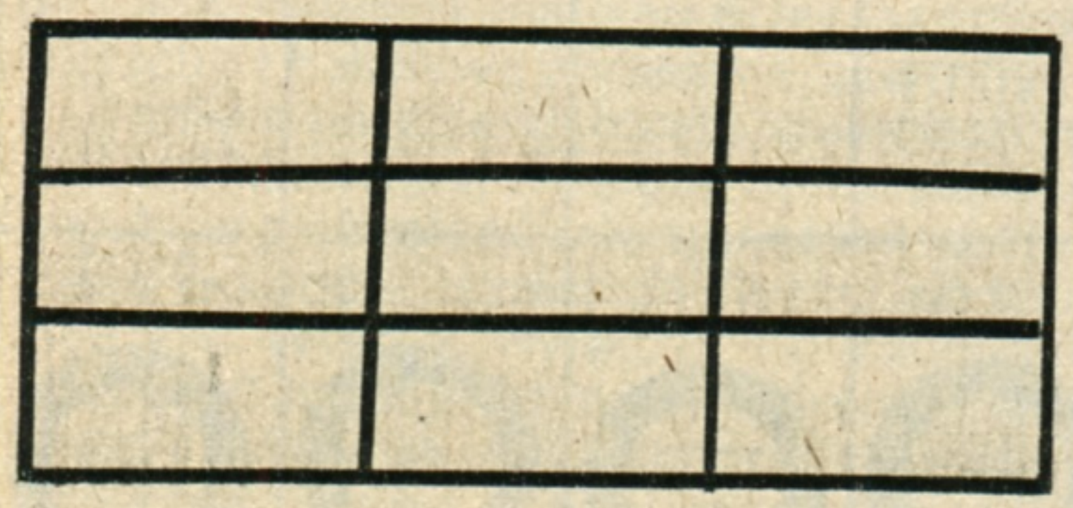

MAGICZNA FIGURA SYLABOWA

Do pustych kratek wpiszcie 3 wyrazy o niżej podanych znaczeniach tak, aby je można było czytać jednakowo poziomo i pionowo. Znaczenie wyrazów: 1. świeci dzięki baterii, 2. przydrożny, kłujący krzew, 3. dawniej służyła do spania lub leżenia.

CZY ZNASZ TE POWIEDZENIA?

Oto 10 poplątanych powiedzeń. Uporządkujcie je tak, aby były prawidłowe.

1. Zdrowy jak — zając.
2. Niewinny jak — wilk.
3. Chytry jak — mrówka.
4. Głodny jak — ryba.
5. Cięty jak — paw.
6. Pracowity jak — lew.
7. Mężny jak — osa.
8. Tchórzliwy jak — baranek.
9. Dumny jak — jeleń.
10. Rączy jak — lis.

NASZ ZWIERZYNIEC

JAŹ

(Leuciscus idus)

Jeszcze nie tak dawno złowione w jeziorach stare jazie wpuszczano do sadzawek i stawów parkowych jako ryby ozdobne. W tym spokojnym środowisku, czując opiekę człowieka, a także ufając własnej tężyźnie fizycznej, jazie nie kryją się na dnie zbiorników, lecz żerują tuż pod powierzchnią wody, pokazując przy tym swoje złote grzbiety i brzuchy. Właśnie na starość łuska u jazi złoci się niby czarodziejski skarb wrzucony do wody księżycową nocą.

W młodym wieku jazie mają pospolite, szaroniebieskie ubarwienie grzbietu z lekkim połyskiem mosiężnym na bokach, przechodzącym w barwę białożółtą na spodzie ciała.

Jazie najchętniej przebywają przy dnie w gąszczu roślinności lub wśród korzeni drzew przybrzeżnych. Chronią się tam przed szczupakami, okoniami, węgorzami i innymi drapieżnikami.

Jaź jest bliskim krewnym jelca i klenia, osiąga długość 60 cm i masę ciała do 2 kg, chociaż niektórzy powiadają, że łowili większe sztuki. Wiosną jazie odżywiają się wyłącznie pokarmem roślinnym, w środku lata zaś i w jesieni zjadają też skorupiaki, mięczaki, owady i ich larwy. Zasiedlają jeziora i rzeki środkowej i wschodniej Europy oraz Azji aż hen po Syberię.

Odmianą jazia jest czebak amurski, spotykany nie tylko w rzece Amur, ale też w innych rzekach syberyjskich, a także w północnych rejonach Korei i Chin.

W Polsce jazie łowi się czasem w dorzeczu Odry i Wisły oraz w Jeziorach Augustowskich i Mazurskich.

Franciszek Kobryńczuk
Rys. Justyna Bednarska

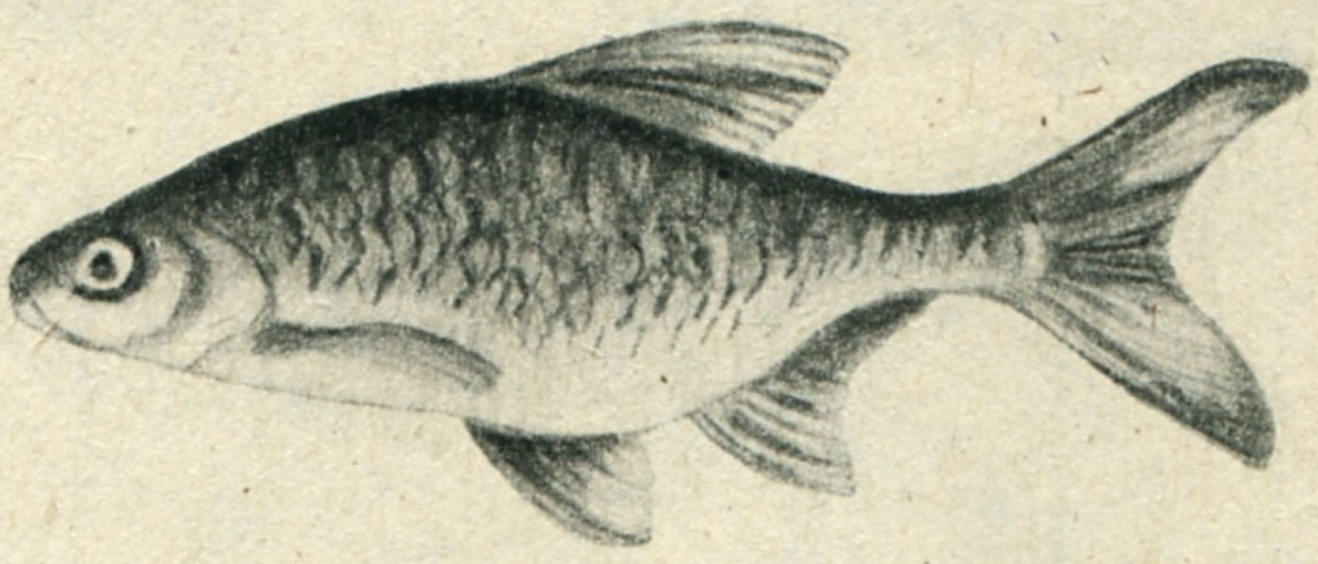

PŁOMYCZEK
DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:
Elżbieta Brzoza, Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Alicja Olszewska (zastępca redaktora naczelnego), Jadwiga Przeczek, Stefan Rutkowski (fotoreporter), Sabina Uścińska-Siwczuk (kierownik działu graficznego), Elżbieta Wrzecionkowska.

RADA REDAKCYJNA:
Wojciech Żukrowski (przewodniczący), Hanna Bielawska, Jerzy Flisak, Ewa Jóźwiak, Ludwik Jerzy Kern, Janina Mazur, Ewa Maria Pawlikowska, Zbigniew Pawłowski, Ewa Sadowska, Maria Wieliczko, Stanisław Wróblewski, Jerzy Zakrocki

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietów wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PBK XIII Oddział w Warszawie Nr 370044-1195-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny:
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

DRUKARNIA WYDAWNICZA IM. W. L. ANCZYCA, KRAKÓW, UL. WADOWICKA 8.
Papier rotogr. 70 g, rola 75 cm, kl. III.

Zam. 8895/89 O-10
Nakład 230 300 egz.
ISSN 0137-8511

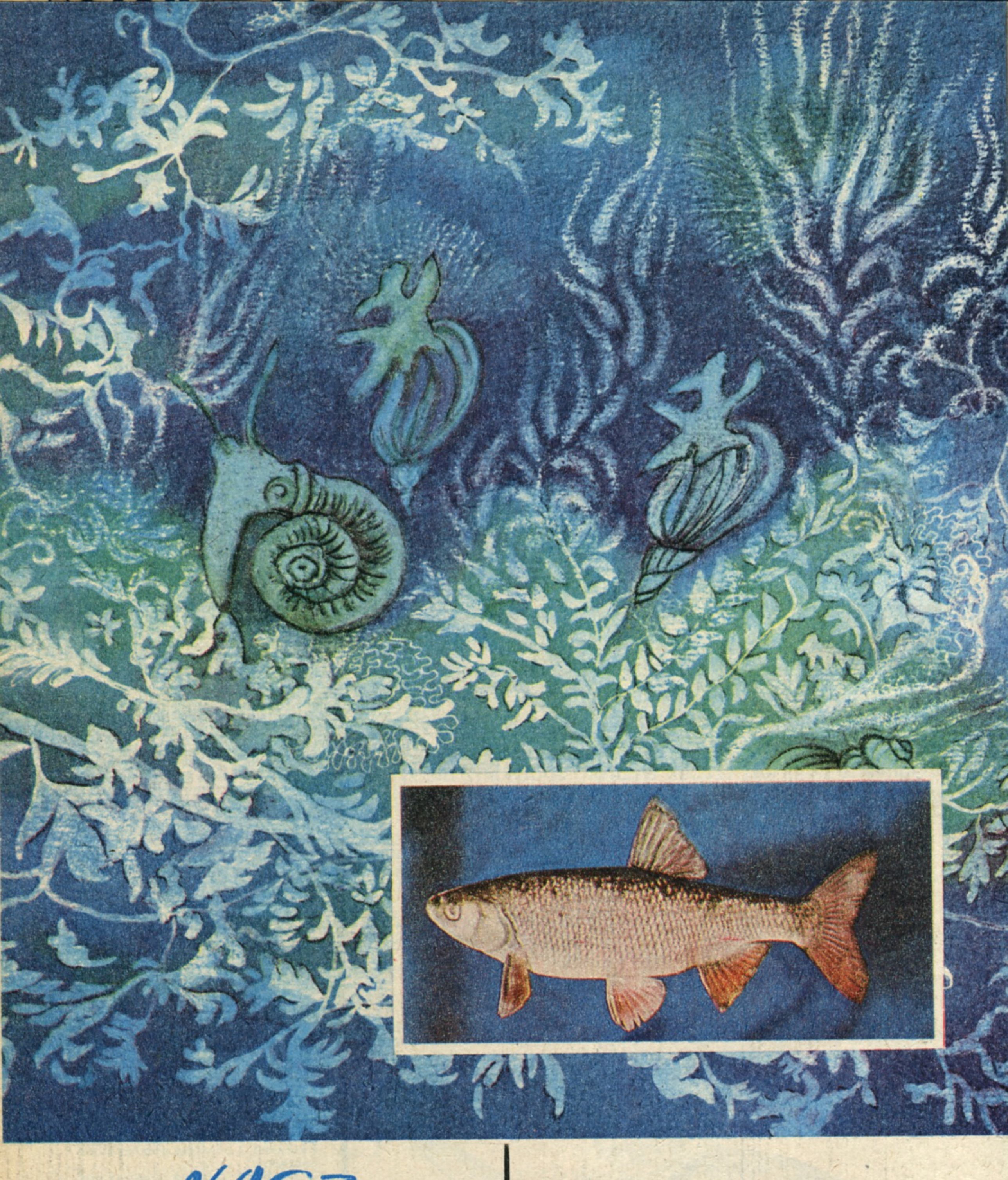

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

JAŹ

Fot. Stefan Rutkowski Rys. Justyna Bednarska

CENA 350 ZŁ